Nr. 35. We Lwowie dnia 29. sierpnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Janko Kersnik.

Wspomnienie pośmiertne.

Napisał

Vladimir Levec.

He was a man, take him for all in all,
I shal not look upon his like again!
Shakespeare.

Najznakomitszy pisarz słoweński, Janko Kersnik, nie żyje! Tego, który był twórcą społecznej powieści słoweńskiej złożyliśmy przed kilku dniami do snu wiecznego na zimne łono rodzinnej ziemi, a dziś oto rzucamy zamiast kwiecia, kilka skromnych słów wspomnienia na świeżą jego mogiłę.

I.

Urodzony 4. września 1852 r. w Brodzie, Janko Kersnik ukończył nauki gimnazjalne w Lublanie, skąd — po złożeniu matury — udał się do wiedeńskiego uniwersytetu na wydział prawny. Niedługo jednak gościł nad Dunajem: po upływie pierwszego półrocza przesiedlił się do Gradcu i tam ukończył studja prawnicze w 1874 roku, a w sześć lat później otworzył w rodzinnem mieście kancelarję notarjalną i rozwinął jednocześnie na szeroką skalę działalność obywatelską. Dobro ludu wiejskiego było w pierwszym rzędzie celem jego życia. Z właściwym sobie oddaniem się i zapałem ukochał rolników kraińskich, a ci, płacąc mu ufnością za serce, obrali go w 1883 roku posłem z kurji wiejskiej do sejmu krajowego. Jako przedstawiciel drobnej własności ziemskiej w sejmie i odważny obrońca interesów ludu, Kersnik stał się wkrótce solą w oku konserwatystów. To też przy ostatnich wyborach partja zachowawcza rowinęła przeciwko niemu głośną, a zgodną i energiczną akcję, która, niestety, nie pozostała bez skutku.

Mąż, który jako poseł, jako długoletni prezydent miasta oraz notarjusz, pracował umiejętnie i dzielnie dla dobra społeczeństwa, widział się zmuszony do opuszczenia okręgu, którego był przedstawicielem w sejmie przez pół generacji niemal.

Koło tegoż czasu, to jest przed dwoma mniej więcej laty, Kersnik zapadł na gardło. Ubiegłej zimy choroba przybrała ostry charakter i dla nikogo nie było tajemnicą, że wielki poeta niedługo już będzie gościł na tej ziemi. A jednak, jakkolwiek byliśmy przygotowani do katastrofy, wzruszyła nas do głębi żałobna wieść, która z rana 28. lipca przebiegła z krańca w kraniec białą Lublanę, wieść, że najsławniejszy pisarz słoweński zamknął nazawsze powieki, stwierdzając przedwczesnym zgonem raz jeszcze prawdziwość znanych słów Stritarja:

...„Slovenec nima srecze"... *)

II.

Janko Kersnik rozpoczął literacką swą działalność od poezji, które umieszczał w la-

*) Słoweniec niema szczęścia.

tach 1866, 1867 i 1868 w czasopiśmie „Glasnik“. Tematem pierwszych jego piosnek, tematem wprawdzie starym, ale dającym natchnienie wszystkim młodzieńczym ognistym duchom, była — ojczyzna.

Artystyczna wartość tych pierwocin literackich niewielka i Kersnik ma po części słuszność, gdy mówiąc o sobie samym, pisze w „Dzwonie“ z r. 1889. „Te pieśni wyszły z pod pióra słoweńskiego pisarza, który był wówczas młody, bardzo młody i najchętniej rozmyślał o takich przedmiotach, jak naprzykład: „Križ na razpotji“, „Kamen ob cesti“, „Samotna breza“ i t. p. i dla którego gwiazdą przewodnią było hasło Urjela Acosty: „Ich bin einer von denen, die am Wege sterben“, Dzisiaj jednak sam on śmieje się na głos, odczytując w wesołej chwili te młodzieńcze arcydzieła, spoczywające gdzieś tam w najdalszej skrytce biurka“.

O wiele wyżej od pierwszych postawić należy cykl pieśni, które Kersnik drukował w r. 1870 pod pseudonimem „Janka“ w słoweńskim „Dzwonie“ wydawanym w Wiedniu. Pobrzmiewa tu już od czasu do czasu silny ton ludowej poezji, drga gorące uczucie, lśnią żywe barwy, nie brak jednem słowem, żadnego z przymiotów, które cechują późniejsze utwory Kersnika i czynią je tak miłemi sercu czytelnika. Jak pięknie dźwięczy i jak gładko się czyta taki naprzykład ustęp:

Czez polje, oj czez polje
S procesijo gredo,
Naprej neso mi križe,
Za kriżi mi pojo.

Nad poljem, oj nad poljem
Szkerjanci w zrak lete,
Nad njimi sije solnce,
Pod solncem żvergole.

(Przez pole, oj przez pole ciągnie procesja, na czele zastępów niosą krzyże, a my postępujemy w ślad za nimi. — Nad polem, oj nad polem skowronki w przestworzu się trzepoczą, nad nimi lśni słońce, one poniżej słońca dzwonią piosenkę.

Do najpiękniejszych atoli pieśni słoweńskich śmiało zaliczyć można poezje Kersnika, ogłoszone w wydawanym przez Stritarja „Dzwonie“ z r. 1876 i 1877. Niektóre z nich, jak to było do przewidzenia, stały się własnością ludu.

Gdyby czytelnik nie wiedział z góry, że te oto naprzykład wiersze wyszły z pod pióra Kersnika, nie był że by gotów przysiądz, że sam lud jest ich twórcą:

Oh ljubczek moj, kaj se bosz jokal,
Kaj si bosz lice rosil?
Ko jutri na tuje bosz romal,
Z vencem klobuk bosz ovil.

In doli po vasi priżvižgal,
Ukal in vriskal glasno,
Oh ljubczek moj, kaj se bosz jokal,
Kaj ti bo tako hudo.

(Oh luby mój, czemuś szlochał, czemuś lica łzami rosił? Od wczesnej pory tułałeś się po obczyźnie, kapelusz kwiatami wieńczyłeś. A przechodząc doliną przez wieś, takeś głośno hukał i wołał. Oh luby mój, czemuś szlochał, co cię tak bardzo bolało?)

Nikt też z pewnością nie byłby pomyślał, słysząc chłopaków, śpiewających wieczorem na wsi tę oto piosenkę, że nie sam lud, ale Kersnik ją ułożył:

Kaj bosz roko dajal,
Kaj bosz slovo jemal?
Czuj merzel veter pisze,
In temna je że nocz.

Pa je te vzel slovo,
Podal ji je roko,
Szel tja, kjer veter pisze,
Tja w merzlo, temno nocz.

Ni bilo ga do zdaj
Nikoli vecz nazaj, —
In veter vecz ne pisze
In merzla ni ta nocz!

(Czemu rękę dajesz, czemu słowem żegnasz? Czy nie słyszysz, jak mroźny wicher jęczy, nie widzisz, jak ciemną jest ta noc. On nie słuchał: słowem żegnał, dawał rękę i szedł tam gdzie mroźny wicher jęczy, tam — w zimną, ciemną noc. — Nie wrócił dotąd, nie wróci nigdy, — chociaż wicher już nie jęczy i noc nie jest już mroźną).

A jednak w zaraniu literackiej swej karjery Kersnik nie rozwinął był jeszcze skrzydeł do właściwego sobie lotu, nie wykazał całej potęgi swego talentu Nie Kersnik-idealista, Kersnik-poeta, lecz Kersnik-realista, Kersnik-prozaik miał zająć przodujące w piśmiennictwie słoweńskiem miejsce.

III.

Pierwszym utworem jego na tem polu powieść „Na Žerinjah“, a po niej posypały się w dalszym ciągu niby z rogu obfitości, szkice, nowele, opowiadania, powieści, tłumaczone skwapliwie na inne pobratymcze słowiańskie języki, a także na niemiecki.

„Na Žerinjah“ wyszła z pod prasy drukarskiej w r. 1876. Jedyną ozdobą literatury

naszej w owym czasie były powieści Jurczicza: „Deseti brat“, „Sosedov sin“ i „Doktor Zober“. Ale Jurczicz odtwarzał w swych dziełach jedną tylko sferę, — sferę chłopską. Wdzięczność więc należy się Kersnikowi za to, że rozszerzył widnokręgi ojczystej beletrystyki, szukając bohaterów dla swych powieści nie tylko pod wiejską strzechą, lecz i w średnim stanie, w świecie urzędniczym, nauczycielskim, mieszczańskim, przemysłowym, a nawet wśród arystokracji. Wszędzie, na każdem polu, w każdej sferze poeta czuł się jak w domu i niemniej mistrzowskiem piórem odtwarzał mieszkańców miast, jak wiosek. Ale największą jego zasługą pozostanie nazawsze to, że typy i obrazy swoje brał z żywej rzeczywistości, idąc za wskazówką Goethego:

„Greift nur hinein ins volle Menschenleben und wo ihr's packt, da ist's interessant!“ i w stwarzanych przez siebie ludzi umiał tchnąć prawdę życia.

Jakkolwiek wszystko, co wyszło z pod pióra Kersnika nieposlednią posiada wartość, najodpowiedniejszem jednak poelm dla jego fantazji, dla jego talentu była powieść społeczna, a jego „Cyclamen“ i „Agitator“ są pierwszemi tego typu utworami w literaturze słoweńskiej.

Ostatnią większych rozmiarów powieścią p. t. „Oczetov greh“ („Ojcowski grzech“), wydaną w r. 1894 Kersnik stanął na wyżynach twórczości. I nie jedna jeszcze cenna perła byłaby się stoczyła ku nam z tych szczytów, gdyby się nie rozwarł nagle grób, nad którym płacze dziś szeroka nasza ojczyzna. Janko Kersnik, od którego mieliśmy prawo oczekiwać jeszcze wiele, wiele dobrego, odszedł nas, ale pozostały nam jego dzieła:

Narod twoj bo pil iz czasze twoje
S pitjem njenim bode se napajal *).

W dziełach swoich żyć nam będziesz wiecznie!...

Spolszczyła
M. Wysłouchowa.

*) Naród twój pił z twojej czary i w przyszłości będzie się rzeźwił jej napojem.

Prof. T. Korzon.

Wewnętrzne dzieje Polski
za Stanisława Augusta.

(Tom III., drugie wydanie)

W trzecim z kolei tomie „Dziejów wewnętrzych Polski za Stanisława Augusta“ rozwinął autor przed czytelnikiem prawdziwe bogactwo faktów, spostrzeżeń, uwag i gruntownych sądów odnoszących się do spraw skarbowo-finansowych, zarówno Stanisława Augusta, jak i Rzeczypospolitej. Zdaje się, że ze wszystkich tomów, jakie się ukażą w przyszłości, tom trzeci zachowa najwięcej naukowej doniosłości, oraz interesu. Ponieważ zaś sumienność i gruntowność studjów zawsze bywała u prof. Korzona jednaką, przeto wyjątkową swą ważność tom trzeci zawdzięczać będzie doniosłości spraw skarbowo-finansowych, którym został poświęcony.

Nic bowiem w gruncie rzeczy nie poucza tak dokładnie o sile żywotnej danego państwa, o zdrowiu i oporności jego organizmu, jak jego budżet, nic nie daje lepszego wyobrażenia o poświęceniu się i gorliwości obywatelskiej; o poczuciu potrzeb publicznych i niezbędności licznych zadań administracyjnych, co dochody i wydatki państwowe. Owe szeregi na pozór suchych cyfr są najwymowniejszemi dowodami politycznej dojrzałości i politycznej etyki, jakie społeczeństwo zdobyć zdołało, są zarazem i najsubtelniejszem kryterjum ustroju państwowego, zapowiadającym mu trwały i krzepki żywot, albo też suchotniczą egzystencję.

Opowieść naukową rozpoczął autor od przedstawienia skarbu króla Imci, zamieszczając na czele zapytanie pani Geoffrin, czy bardzo jest król polski bogaty? Stanisław August na powyższe zapytanie w roku wstąpienia na tron odpowiedział temi słowy: Król polski nie bardzo jest bogaty, o tyle o ile, — przy małym zasiłku, jakiego mu naród udzielił, przy staranności i przestrzeganiu ścisłego porządku w interesach swoich, król, mam nadzieję, znajdzie sposób utrzymania się mniej więcej z godnością. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż Stanisław August wziął po rodzicach bardzo skromną fortunę. Targówek i Kaleń pod Pragą, Ujazdów pod Warszawą, Zaleszczyki i Jazłowiec przyniosły w r. 1767-ym zaledwie 67.000 zł., z czemś jeszcze drobnem po nad tę sumę, a więc nie była to fortuna ani magnacka, ani tłusto-szlachecka, gdyż taki Suchorzewski np. liczył 150.000 zł. rocznej intraty.

Publiczne dochody w okresie lat od 1764 do 1777-go wynosiły w przecięciu rocznie po 6,603.086 zł. Pierwsze też trzechlecie nie wykazało rachunkami ani nędzy, ani trudnych powikłań w kasach królewskich. Nawet na sejmie 1766-go r. wystąpił St. August z darowizną dla rzeczypospolitej około 3 milj. zł., należnych mu za poselstwa, za urządzoną ludwisarnię, za korpus kadetów i t. p., odrzucił też kilkakroć sto tysięcy złp. ofiarowanych mu przez izbę. Lubo w latach pojedyńczych dochód skarbu królewskiego przenosił cyfrą przeciętną wydatek, to jednakże przy końcu trzechlecia okazały się długi i nie można ich było spłacić. Powstały one skutkiem zagadkowych wydatków, które objaśniają księgi rachunkowe tajemniczemi wyrazy „do rąk królewskich".

O wiele gorszym, posępniejszym i . dokuczliwszym był dla S. Augusta drugi okres finansowy od 1768 do 1773-go r. Każdy rok przynosił przeszło miljon zł. ubytku, a suma szkód zrządzonych w dobrach królewskich w samym 1768-ym roku wynieść miała 8 milj. zł. Gdy też kasa królewska i Rzeczpospolita świeciły pustkami, główny kunszt zasadzał się na tem, aby coś „wyłabudać" u Repnina. W ciągu lat siedmiu, z tego źródła wpłynęło do kieszeni królewskiej 254 000 dukatów.

W dobie w pierwszego rozbioru, długi królewskie wynosiły siedm miljonów, z pozostałych zaś w uszczuplonym kraju ekonomij, obliczono dochód roczny tylko na dwa miljony zł., o innych zaś źródłach dochodów przemilczano zupełnie. Trzy uchwały delegacji zapewniły królowi wszakże 7 milj. dawnego dochodu, spłatę długów i dziedzictwo czterech, najbogatszych starostw. Na pierwszym rozbiorze król prędzej zarobił, niż stracił, zwłaszcza jeżeli wspomnimy, że w ogólnej grabieży skarbu narodowego brała udział sowity jego rodzina i liczni zausznicy. Począwszy od r. 1784-go kiedy zarząd wszelkich funduszów i utrzymywanie kasy przeszło do komisji ekonomicznej skarbu J. K. Mości dochody królewskie wzrastały stale. Komisja pełniła swą czynność porządnie i starannie, ale St. August po za jej plecami prowadzi dalej swe utracjuszowskie gospodarstwo. Długi też wzrastały nieustannie i król występował bez przestanku do sejmu z prośbą o ich zapłatę, a płacono też je aż do 1792 r. przez lat 17 bez przerwy, dając mu tym sposobem prócz listy cywilnej $15^1/_2$ miljonów zł. na długi.

W epoce sejmu wielkiego (1788—91), rachunki kasy królewskiej przedstawiają się świetnie. Dochody dosięgają cyfr najwyższych, a po opłaceniu wszelkich znanych kamerze wydatków, pozostają nawet remanenty. W okresie IV-ym powtórzyły się stosunki i sceny z okresu pierwszego, tj. narzekanie na długi i łabudanie pieniędzy u Siewersa, jak niegdyś u Repnina i innych. Prócz tego Siewers wziął w swoje ręce sprawę długów królewskich, które w r. 1793-im wynosiły ni mniej ni więcej, jak 33 milj. zł. W wykazie długów były niewątpliwie sumy fikcyjne w znacznej wysokości. Przecież ten rachunek mieli ponieść wspólnie sprzymierzeńcy. Przy podpisaniu też traktatu rozbiorowego, król uściskał Siewersa po dwa razy, tulił go do piersi i wylewał łzy radości.

Ostatni rachunek kasy królewskiej od 1794-go do 1795-go r., przedstawia w dochodzie niecałe 5 milj. i nieco mniej w wydatkach. Ubogim tedy, jak nigdy był Stan. August w chwili, gdy z okna zamkowego patrzył na zbliżającą się armję Suwarowa. Wyjeżdżając ostatecznie z Warszawy, sprzedał król kosztowności za kilkadziesiąt tysięcy zł., a następnie w Petersburgu sprzedaż reszty wyniosła 234.415 rs. Ostateczna spłata długów S.. Augusta została uregulowana w drodze dyplomatycznej dopiero w r. 1797-ym. Rosja i Austrja przyjęły po $^2/_5$, a Prusy $^1/_5$ ogólnej sumy, która wynosiła naówczas 40 milj. zł. Nie był to przecież jego dług ostatni. W Petersburgu potrafi St. August zrobić jeszcze długów w sumie 7,224,554 zł., a to głównie na tajemne rozdawanie swym synom i satelitom. Ciężką winę tego marnotrawcy, zdaniem prof, Korzona, łagodzi nieco pamięć hojności na pożyteczne dla kraju przedsięwzięcia, przemysł, oświatę i sztukę narodową.

Co się tyczy skarbu koronnego i litewskiego, to uporządkowanie go i zasilenie było najważniejszym punktem w programie reform Czartoryskich. Dla osięgnięcin pierwszego z tych celów, utworzona została komisja skarbowa (koronna i litewska) czyli ministerjum, do drugiego zaś miały doprowadzić reformy podatkowe. Pierwsze sprawozdania z działalności nowych instytucyj złożone były na sejmie w r. 1766-ym. Rachunki jeneralne skarbu koronnego obejmowały 9 kwartałów, licząc do 30-go września 1766-go, i dawały rocznie przychodów nieco więcej nad 6 milj. zł., a dochody skarbu litewskiego wynosiły prawie 3 milj., zł. Policzywszy jednak wszystkie dochody obu skarbów, dojdziemy do sumy 13 milj. zł., czyli, że dzięki reformom Czartoryskich Rzeczpospolita rozporządzała zwiększonym o 1·6 razy dochodem.

W tymże samym czasie wydatki nie dochodziły sumy przychodów i w obu skarbach leżała pozostałość, w samej prawie gotowiznie wynosząca około $3^1/_2$ miliona złp., gdy sejm konwokacyjny zastał w skarbie koronnym zaledwo 19 000 złp. gotówki. Nie długo wszakże trwał ów stan pomyślności finansowej. W następnym roku rozpoczęła się już doba konfederacji, która na skarbowość oddziałała jaknajgorzej. Z końcem sejmu delegacyjnego

cyfra długu koronnego wynosiła przeszło 15 mil. złp., ale przed komisją likwidacyjną zadeklarowano pretensyj przeszło na 122 milj. złp. Podczas też pierwszego podziału stan finansowy państwa był rozpaczliwy i można go było nazwać powszechną ruiną.

W okresie drugim projekty reform finansowych popierane były przez Stackelberga i przeszły dzięki jedynie jego poparciu. Reformatorem zaś na ten raz był St. August wraz z przywódcami delegacji. Owych przywódców, a mianowicie Ponińskiego i Augusta Sułkowskiego, a następnie inne ważne osobistości, jak Moszyńskiego, kreśli nam autor szczegółowo i żywo, przechodząc w dalszym ciągu do systemu podatkowego, jaki w owej epoce był przeprowadzony. Nowy ten system okazał się zawodnym i nie dostarczył obu skarbom 30 milj. złp., jak to przewidywano. Tymczasem delegacje ułożyły tabelę ekspensów cywilnych i wojskowych na 29 z górą miljonów dla Korony i Litwy, a więc i deficyt przerażający był nieuniknionym.

W osobnym a obszernym rozdziale przedstawił prof. Korzon działalność finansową sejmu czteroletniego. W rozdziale powyższym zamieścił autor wszystkie poglądy ekonomistów, uczonych i wszystkie projekty, jakie w obrębie sejmu powstały. Z tego interesującego i ważnego rozdziału przekonać się można dokładnie o tem, jak uchwała 100.000-go wojska, a potem już tylko 65-000-go rozbiła się o nieprzezwyciężone trudności finansowe. Uwagi, które w tym dziale spotykamy o uchwaleniu ofiary i zarzutu Staszyca, utrzymującego, że szlachcic polski krzywoprzysiągł, aby nie dał podatku, a wreszcie cały ten ustęp pracy prof. Korzona jest wyczerpującym pod każdym względem i zaspakaja najwybredniejsze wymagania naukowe. Z żalem też przychodzi mi się rozstać z tym rozdziałem, zaznaczyć jedynie winienem, że do dawnych dochodów skarbu w sumie 19 milj. złp. sejm wielki dodał około 10, czyli, że ogólne fundusze rzeczypospolitej wynosiły niecałe 29 milj., gdy tymczasem przy 100.000 armji potrzeba było 48 i pół milj., oprócz wydziału interesów zagranicznych. Wreszcie podług etatu uchwalonego przez sejm w 1792-im r. wojsko na stopie wojennej potrzebowało 47 milj., a na stopie pokojowej przeszło 39 milj. Sejm zaś wielki w pierwszem dwuleciu wydawał rocznie na wojsko po 29 m., a w drugiem po 37 milj.

W tomie trzecim spotykamy się jeszcze z bardzo ciekawym opisem gospodarki finansowej w roku 1794-tym, t. j. za rządów kościuszkowskich. Rządy owe rozpoczęły się od rozpaczliwego stanu skarbu i od bankructwa 6 firm bankierskich, które wykazywały w swoich pasywach przeszło 150 milj. złp. Niedostatkom funduszów rada najwyższa chciała zapobiedz kredytem państwowym. Wśród warunków nieskończenie trudniejszych, niż przed trzema laty, rząd kościuszkowski powziął nierównie śmielsze postanowienia niż sejm czteroletni. Koszty też ogólne rządów kościuszkowskich wynosiły około 25 milj. złp., pozostawiając kraj cały w zupełnem wyczerpaniu i ekonomicznej ruinie.

Rozstając się z tomem trzecim „Wewnętrznych dziejów“ prof. Korzona, zaznaczyć winienem, że nietylko bogactwem źródeł, trzeźwością i głębokością sądu, ale jasnością i przystępnością opisu zniewolił sobie czytelników więcej niż w dwóch tomach poprzednich. Gdy bowiem tom pierwszy zrażał ciężkością, a nawet niekiedy zawiłością wykładu, tom drugi stanowił już znaczny zwrot ku lepszemu, a tom trzeci pokonał zupełnie wszystkie trudności, z jakiemi autor w tomie pierwszym nadaremnie się potykał.

Część ilustracyjna przedstawia się także w tomie trzecim pokaźnie, a nawet imponująco. Spotykamy się na tem miejscu z wieloma postaciami ciekawemi, jak Tomasz Ostrowski, Jan Ogrodzki, Pius Kiciński, Izabela Czartoryska, jenerałowa Grabowska, ks. Repnin, Stackelberg, Jan Suchorzewski, Tadeusz Matuszewicz, Michał Ossowski. Prócz tego zapoznano nas z szeregiem sal w Zamku Królewskim. w Łazienkach, z zamkiem grodzieńskim i z wieżą zamku rawskiego. Ale nie na tem koniec, spotykamy nadto kolorowane podobizny uniformów pułków królewskich, podobizny biletów skarbowych i kart tytułowych z ksiąg rachunkowych z owej doby; jednem słowem dzieło profesora Korzona odkrywa przed czytelnikiem wszechstronnie epokę Stanisława Augusta i pozwala obficie czerpać z tej skarbnicy naukowej, jaką nas obdarzył.

(Kurjer Warsz.) *A. Rembowski.*

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Ciąg dalszy).

II.

Jakto? Nie znałaś pani Karola Chaleckiego? Nawet nie pani o nim nie słyszałeś?... Dziwne... taki bogacz, taki znakomity człowiek.

— Cóż w nim było tak znakomitego? — spytałam...

Ale pan Dominik nie słyszał już nawet mego pytania. Już myśl jego nagle w daleki kraj wspomnień porwana utraciła wszelką czułość na dźwięki dzisiejszych głosów. Po ożywionych a w głąb siebie zapatrzonych oczach, poznałam snadnie, że już bawi w tym dawnym ojczystym kraju swoich snów, do którego tak łatwo było mu wracać i tak naturalnie, jakby obecny świat rzeczywistości był raczej sztuczną sferą, do której przymusowo i z pewnym z jego strony wstrętem życie go nakłaniało.

Poprawił się na krześle, łokieć wsparł na stole i zabrał się do opowieści.

— Toż od naszego Szczodryna — pani wiesz? miasteczko Szczodryn należało do mojego ojca — (jakże nie miałam wiedzieć, słysząc o tem niemal codziennie?) — od naszego Szczodryna, aż po przez Lubacz, aż hen ku Rohaczewu wciąż szły ziemie Chaleckich. Niedługo, co prawdę, niemi władali, bo dostały się im niezbyt dawno w sukcesji po Monkiewiczach, a ci Chaleccy skądściś, bodaj aż z pod Siedlec tu przybyli. W Lubaczu był dwór — dziśby pałacem go nazwano, ale w owe czasy pałace czy zamki miał tylko książe Radziwiłł w Nieświeżu, a hrabia Tyszkiewicz w Czerwonym Dworze, Hołyński w Krzyczewie; trzech, czterech nie więcej takich panów byś naliczył, a to już później panków i półpanków namnożyło się do syta. Ale dawniej, co pan to pan, a reszta bracia szlachta, choć niejeden z nich taki, że i z tuzin dzisiejszych hrabików do kieszeni schowaćby potrafił. Nie szukając dalej, brat mój stryjeczny, Stanisław, posiadał tyle ziemi, że chłopi o nim mówili: „to wielki pan, to pan od wschodu do zachodu“, a to dla tego, że od wschodu słońca do zachodu nie przejechałbyś jego posiadłości. Ze dwa niemieckie udzielne państewka pomieściłyby się wygodnie w tych obszarach — i jeszcze cośby zostało dla kaczek na błotko — dokończył z uśmiechem.

— Lecz cóż Chalecki? — wtrąciłam naprowadzające na przerwany wątek.

— Bogaty był to szlachcic, żył dostatnio. Oni tam w Królestwie lubią zbytek; uczą nas tego, jak się tu który podkręci — a potem nasz Litwin płaci za naukę nieraz całym ojczystym majątkiem. Przyznać jednak należy, że chociaż trzymał dwór na stopie niemal hrabiowskiej i nie żałował sobie niczego, ale też i rządzić majątkiem potrafił. Nie tylko nie tracił nic, ale jeszcze gospodarstwo tak podniósł, że tu okolicznie nigdzie nic podobnego nie widziano, i sąsiedzi choć z daleka, okółkiem zaglądali, aby przypatrzyć się a podziwić jak tam to wszystko uprawiono, a zasiano, a zbierano — stertami pełnemi. Mówię: choć zdaleka, bo Chalecki, głowę nosił wysoko i ze szlachtą prawie, rzec można, że się nie znał. Za to kogo polubił, to był mu niby brat rodzony.

Mój ojciec właśnie należał do kółka nielicznych jego przyjaciół.

Parę razy na miesiąc wpadnie do nas, bywało, pan Chalecki i już bez ojca mego nie odjeżdża. Zabiera go ze sobą do Lubacza i tam gości, przyjmuje a bawi, aż póki ojciec nieledwie gwałtem się od niego nie wyrwie.

Części jednak i dłużej jam w Lubaczu przebywał. Chaleccy bowiem mieli synka, tego właśnie Karola — i takeśmy się od pierwszego widzenia z nim podrużyli, że żyć bez siebie nie mogliśmy. Karolek właśnie był tak jak ja jedynakiem, pieszczony tylko był bezmiernie— nie tak jak ja.

Spuścił głowę pan Dominik i chwilę jakby przeżuwał coś zgorzkniałemi swemi ustami. Wiedziałam, że fantastyczka matka nie lubiła go od dzieciństwa i ten jedyny potomek możnego niegdyś rodu, wnuk dostojnego pana i wytwornej damy dworu Stanisława Augusta chował się bardziej w izbie czeladnej niż w rodzicielskim domu.

Po chwili mówił dalej:

— Mimo, że nad nim duch roniono i jak pamiątkę chowano, Karolek właśnie rwał się do psot, do figlów, do latania po stajniach i folwarkach. Miał ze mnie pod tym względem nielada towarzysza. Wiem, że pani Chalecka krzywo na nasze ekscesy patrzała, ale czuliśmy, że ojcowie nasi, mimo niekiedy nastroszonych marsów, w głębi serca latania naszego za złe nam brali — więc pozwalaliśmy sobie.

I dobrze było nam razem. Chociaż niejeden sądziłby z pozoru, że ja, będąc i tęższy i silniejszy, i większy zawadjaka przewodniczę w pomysłach i śmiałkowaniu, nie było tak jednak w rzeczywistości; gdzież tam! było inaczej. Nieraz zdumiewała, nawet mnie, nagła jego w trudnych razach determinacja i odwaga prawdziwie szalona.

Cztery, pięć lat trwała nasza przyjaźń; a potem Karola odwieziono na nauki do Paryża. Matka o innem niż paryskie wychowaniu ani słyszeć nie chciała; musiał i ojciec nie być temu przeciwny. Tak nas wielki świat rozdzielił.

Ojciec mi wówczas wyznaczył Stepy do gospodarzenia, zagrzebałem się w orce, w siejbie, w kośbie, a kiedy wyjrzałem z domu, to z psami do boru, między głuche sosny; po moczarach za cietrzewiami, po ostępach za wilkami się uganiałem, lub w noce letnie po wodach naszych z więcierzem się snułem. Młodość mi na tem schodziła.

Porwały się stare stosunki; u Chaleckich bywać przestałem.

Znów zamilkł na chwilę, a mnie na myśl przyszły słowa jego siostry, która ze łzami

wspominała o tej młodości brata między puszcze zaprzepaszczonej, pozbawionej tego wszystkiego co stanowisko majętnych spadkobierców zapewnić może.

Pan Dominik ciągnął dalej:

— Naraz doszła mnie wieść, że stary Chalecki, chociaż człowiek w sile życia będący, zmarł niespodzianie po parudniowej chorobie. A w kilka miesięcy słyszę, i żona za nim poszła.

Myślę sobie: coż teraz będzie z majątkami? kto będzie niemi rządził? A nielada tam trzeba było ręki, jeśli wszyscy okolicznie przeszło na półmiliona rubli dobra te oceniali na owe czasy! Pół roku stały dobra bez pana; czekano na nowego dziedzica. O Karolu mówiono, że jako oficer rosyjskich ułanów stał z pułkiem gdzieś daleko od kraju.

(Ciąg dalszy nast.) *W. Dalecka.*

Z tułaczej jazdy.

IV.

„Chodziki".

(Ciąg dalszy)

Wkrótce nadszedł Kantecki z potężnym zapasem „ostrego" chleba i porcją p a t y. Tak zwana pata jest wolnym przekładem „la paté", który choć oznacza pasztet, w gruncie rzeczy jednak jest rzeczywiście prędzej patą lub czemś innem takiem a nie pasztetem. Bartoś Franciszek zgarniał patę na chleb, poczem takie brudno-brunatne porcje połykał chciwiej, niż pucułowaty wygląd jego kazał się domyślać. Kantecki mrugał znacząco na Wojciechowskiego, który obserwował wstydliwie tę manifestację chodzikowego apetytu. Przypomniał mu się koncept Kanteckiego:

„Chodzik nie jada, nie pije
A jednak chodzi i żyje".

Tymczasem Bartoś pokonał chleb i patę i wypił szybko, szklankę gorącej herbaty. — Twarz mu lśniła jeszcze mocniej, oczki pływały jakby pod powiekami z wyrazem ukontentowania.

— Cóż, bonomie, jak sobie radzicie bez niewiasty? — zagadnął Kantecki.

Bartoś przykucnął śmiejąc się na krzesełku.

— Któż ta, proszę pana, w tym Paryzie może być bez baby. Tu taki naród, że dzieci z dziećmi w to się bawią.

Niepomierna ilość chleba i paty działała na Bartosia w sposób niemal odurzający. Pomimo licznych znajomości, o których wspominał Wojciechowskiemu, widać było, że ten młody, tęgi a gadatliwy chłop nie bardzo przed kim ma się wygadać. Z kolei przeszedł na Francuzów.

— Francuz — marny naród. Umie nożem dźgnąć, choć gdzie jemu do Włocha, ale w garści to żaden nie silny, Nie ma tu takich jak u nas, co kiedy dmuchnie, to na sąd pański nie wstanie!... Na e t r a ż e r a, niby na Polaka, są toż bardzo zawzięci. Zawsze każdego chcą oszydzić, „mersi musje, mersi musje" tego nigdy powiedzieć nie zapomni, ale im grzeczniej gada, tem paskudniej okpi. Taki tu naród! Kość w nim drobna — dodał w końcu — dlatego siły nie ma, a jeszcze, że najbardziej nic wstydu nie znają.

Kantecki się nagle nachmurzył.

— Pięknie gadacie, mój bonomie, ale gdybyście tam w kraju licho wie czego nie przeskrobali, tobyście tu teraz nie potrzebowali wyrzekać.

Bartoś przybrał minę pełną godności i jakby nieco urażoną. Zresztą mniej go zdawało się oburzać podejrzenie Kanteckiego, ile chodziło mu o opinię tego nowego, całkiem świeżego „rodaka", którego miał przed sobą. To też mówił, zwracając się do Wojciechowskiego.

— Głupi byłem, znaczy jeszcze durny, bo młody, kiedy mi się tej Ameryki zechciało. Z tego się wszystko zaczęło. Gdybym ja naprzykład gruntu nie odstąpił, to bym miał do czego wracać. I później znowu w tym przeklętym Paryzie najgorzej mnie kacapy oszydzili. Resztę gotówki ja przez nich straciłem. Chodziłem raz sobie po szandemargie, koło tych stajni dla cyrku, bo czasem tam gnój wyczyścić albo koni do wody poprowadzić dawali — przy koniach weselej. A tu były wtedy te kacapy, proszę pana dobrodzieja, którzy z kozackimi końmi przybyli do cyrku. Zaczęli mnie zwodzić: „brat, brat" powiadają. Choć to psubrat kacap jest, ale zawsze można do niego słowo przemówić. Ja wtedy mało co język francuski rozumiałem. Jeden kacap ciągle obiecywał, ze mnie za koniucha, za stajennego, znaczy wezmą. We wtorek ja jakoś ich poznałem, a we czwartek dał mi kacap robotę i dwa franki przy stajni zarobiłem. Zaraz musiałem dla grzeczności zaprosić go do m a r s z a n a. Nazajutrz znowu mi dał robotę i tak do niedzieli. W niedzielę wzięło się ich dwóch na mnie. Znów ciągle „brat, brat" wołają, że oni chcą ze mną po Paryzie pójść. Wtedy akurat wypadał tu jarmark w Sewrze za rzeką. Poszlimy do sewru. Odrazu kacapy zaczęli stawiać i tak do mnie przystępowali, że ani rady; musiałem traktament przyjmować. Potem ja im postawiłem. Potem wyszli my na karuzel,

oni mnie już od swojej kompanji nie chcieli puścić. A ja także nie mogłem bardzo się sprzeciwiać, bo już od poniedziałku, ten kacap mówił, miałem stawać za stajennego. Wrócilimy na wieczór do miasta — i poszli razem na „dine". Kacapy prowadzili. Zaraz na tym „dinie" znalazły się ich mamzele i na trzecią mrugnęły. Trzeba było z grzeczności postawić im absynta. Absynt najgorszy jest dla Polaka — mgli ścierwo, że duszę wyśsie i bardzo mroczy. Potem kazali dawać kawę i „ptiwezy". Samych ptiwezów było koło każdego po dziesięć, bo pamiętam jak przyszło do rachunku. U marszana ja wszystko zapłaciłem — za sześć osób. Jeszcze kacap pożyczył odemnie 30 franków. „Teraz brat — mówi — my razem służyć będziemy, to się zaraz porachujemy. Jutro, mówi, od starszego pieniądze wezmę". Tyle ja ich widziałem. Przychodzę nazajutrz do stajni — patrzę za moim kacapem — nie ma. Zerznął się, myślę, wczoraj jak nieboskie stworzenie — od południa przyjdzie. Na południe idę do gargoty, gdzieśmy razem jadali — nie ma kacapów. A p a t r o n mruga na mnie i mówi: „parti, parti, a la gare". Jakże mówię „parti"— oni tu przyjdą. Widzę że nie ma żartów, lecę duchem do starszego. I starszego nie ma. Poznałem co jest, ale już było zapóźno. Tej soboty kacapów rozliczyli, w poniedziałek już ich nie było w Paryzie!...

Bartoś aż zachrypł od opowiadania — przez czas jakiś ciężko sapał.

— „Brat, brat" — przedrzeźniał raz jeszcze swoich wrogów a psu brat on jest, taki kacap, a nie Polakowi!

Powoli jednak uspokajał się i oczki nabierały znowu maślanego połysku i głupiochytrego wyrazu.

— Wiadomo — rzekł — głupi byłem z chamskim rozumem — nie znałem jeszcze wielmożnych panów patrejotów, dla tego mnie psubraty kacapy oszydziły.

Wojciechowskiemu zrobiło się nie swojsko przy tej okolicznościowej ewokacji patrjotyzmu. Kantecki również nie był bardzo zbudowany.

— Filozof jesteście, to się wie — rzekł — ale tymczasem dajmy temu spokój. Przyjdźcie tu jutro zrana, to zarobicie franka za froterowanie.

Chodzik począł się kłaniać i cofać ku drzwiom. Wojciechowski ze zdumieniem patrzył na Kanteckiego, który zamierzał „froterować" swój apartament na poddaszu. Były tu istotnie resztki posadzki, jednakowoż sama obecność sprzętów Kanteckiego w części połamanych, w części zaś podziurawionych, usuwała wszelką myśl o „froterowaniu".

Bartoś wszakże nie okazywał zdziwienia, i owszem, żegnając się z Wojciechowskim, rzekł:

— Może i u pana dobrodzieja robota się znajdzie — ja tu u wszystkich panów akademików „floteruję".

Po wyjściu chodzika Kantecki położył rękę na ramieniu Wojciechowskiego, podobny do Wirgilego w obec Danta i rzekł:

— Froterowanie, uważacie mój bonomie, jest to powszechny zwyczaj w kolonii, gdy czodzi o chodzików. Trzeba przecież jakoś tę jałmużnę upozorować — otóż, uważacie, froterujemy. Radzę i wam to samo zrobić, jak taki Franciszek Bartoś do was zawita. Niech się bonom zmacha przynajmniej. Powiedziano jest bowiem, że praca uszlachetnia.

Kantecki lubiał w ogóle sentencje, szczególnie jednak gustował w zestawieniach nieco ryzykownych, co zresztą z dawna już wyrobiło mu u kolegów opinję „cynika".

— Czyście zauważyli — rzekł Wojciechowski — że wasz Bartoś ma pewną skłonność do filozofowania?

— Skłonność do filozofji posiadają wszyscy próżniacy w ogóle — odrzekł Kantecki co zaś do Bartosia, to powiadam wam r u d i s on jest, b a c i a r z w porównaniu z jednym tu ogrodniczkiem. Także chodzik był. Mogę powiedzieć, że nawet leib chodzik, pierwowzór chodzika. Nazywał się Błażej Ciołek, czyli jak gośmy w kolonji nazwali na pamiątkę Ciołka-Viteliona Błażelion. Nawet mu się to bardzo podobało. Otóż jak się wam zdaje — poco i jak taki Błażeljon zawitał do Paryża z ziemi opoczyńskiej? Poprostu chciał się przekonać, czy to prawda, że jest papież nad katolikami!

— Po cóż do Paryża — wtrącił Wojciechowski.

— Pierwsza wędrówka Błażeljona oparła się o Essen, dokąd się dostał z partją emigrantów przez Saksonję. Był prawie w całej Westfalji. W Bochum przesiedział pół roku, zebrał pieniędzy i wyruszył na Kolonję i Akwisgran do Paryża. „Godzi mi się — powiadał — przygotowanie mieć przed taką drogą." Za drogę uznał tylko ostateczną podróż do Rzymu — resztę Europy zwiedził ot tak, przy okazji, dla przygotowania.

(Dok. nast.). *Jerzy Grot.*

Z drukarni Z. Golloba.